

Europa: kryzys i kres?

23 czerwca 2010

Przedstawiam do refleksji i do dyskusji kilka tez dotyczących sytuacji europejskiej, zainspirowanych wydarzeniami ostatniego miesiąca.

KRYZYS DOPIERO SIĘ ZACZYNA

W ciągu ostatnich tygodni byliśmy świadkami ogłoszenia bankructwa rządu Papandreu, narzucenia Grecji planu ostrych oszczędności w zamian za pożyczkę europejską, „obniżenia notowań” Hiszpanii i Portugalii, zagrożenia upadkiem euro, stworzenia funduszu bezpieczeństwa europejskiego wysokości 750 miliardów (przede wszystkim na żądanie Stanów Zjednoczonych), podjęcia przez Europejski Bank Centralny kontrowersyjnej decyzji o wykupie obligacji rządowych oraz przyjęcia w wielu krajach polityki zaciskania pasa. To dopiero początek. Są to bowiem nowe przejawy kryzysu, który rozpoczął się dwa lata wcześniej od upadku amerykańskich kredytów hipotecznych, i zapowiadają one kolejne. Pokazują, że ryzyko krachu nie tylko się utrzymuje, ale nawet się zwiększyło, podtrzymywane istnieniem ogromnej masy „złych” kredytów, nagromadzonych w ciągu poprzedniego dziesięciolecia przez konsumpcję na kredyt oraz sekurytyzację Credit Default Swap i innych produktów pochodnych. „Czarny Piotruś” złych kredytów nada działa, a państwa podążają za nim. Spekulacja dotyczy teraz walut i długu publicznego. Najśłabsze ogniwo tego łańcucha stanowi dzisiaj euro, a wraz z nim Europa. Konsekwencje będą katastrofalne.

GRECY MAJĄ POWÓD DO BUNTU

Pierwszym skutkiem kryzysu i zastosowanego „remedium” jest wściekły protest ludności Grecji. Można się zastanawiać, czy chodzi tu o bezzasadną odmowę poniesienia „odpowiedzialności”, czy słuszne prawo do odrzucenia „zbiorowej kary”. Niezależnie

od wykroczeń, jakich się dopuszczono, sędzę, że gniew ten jest uzasadniony przynajmniej z trzech powodów. Po pierwsze, narzuceniu ograniczeń towarzyszyło szalone piętnowanie ludu greckiego, uznanego winnym za korupcję i kłamstwa jego klasy politycznej, których beneficjentami (szczególnie w formie ulg podatkowych), jak wszędzie, byli najbogatsi. Po drugie, po raz kolejny (jeden raz za dużo?) rząd Grecji porzucił swoje zobowiązania wyborcze bez jakiegokolwiek demokratycznej debaty. Po trzecie, ostatnimi czasy Europa nie wykazuje żadnej rzeczywistej solidarności w stosunku do swoich krajów członkowskich, ale narzuca im rygorystyczne zasady Międzynarodowego Funduszu Walutowego, którego celem nie jest ochrona narodów, ale wierzytelności bankowych, co powoduje głęboką i niekończącą się recesję.

Poważni ekonomiści są zgodni, że jeżeli, zgodnie z wymaganiami zwolenników „ortodoksji”, te same zasady zostaną zastosowane wobec krajów mających niskie „notowania” na rynku finansowym, nastąpi nieuchronny upadek greckiego Skarbu Państwa, rozprzestrzenienie się kryzysu oraz ogromny wzrost stopy bezrobocia.

POLITYKA UKRYWAJĄCA SWE OBLICZE

Grecy są pierwszymi, ale nie ostatnimi ofiarami polityki „ratowania” wspólnej waluty, której strategicznymi warunkami (narzuconymi głównie przez Niemcy) była przede wszystkim zasada maksymalnego deficytu budżetowego (zapisana w Traktacie Konstytucyjnym, lecz naprawdę nigdy nie stosowana w pełni), a także konieczność „regulowania” (bardzo łagodnego) spekulacji i przepływu hedge funds (zapowiedziana już po kryzysie subprimes i rzeczywistym lub wirtualnym upadku banków w 2008 roku). Ekonomiści neokeynesistowscy do tych warunków dołączają jeszcze konieczność stworzenia europejskiego „rządu gospodarczego” (szczególnie przez ujednolicenie polityki fiskalnej), a także wspólne korelowanie planów inwestycyjnych. W ich opinii niezastosowanie tych środków spowoduje niemożliwość utrzymania euro.

Propozycje te nie są techniczne, ale całkowicie polityczne. Wpisują się w alternatywne rozwiązania, które powinny być poddane pod dyskusję wszystkim obywatelom, ponieważ ich skutki dla ogółu będą nieodwracalne. Dyskusja, o ile ma miejsce, jest głęboko tendencyjna, ponieważ ukryte są lub odrzucone istotne założenia:

- ochrona waluty lub jej dewaluacja w okolicznościach kryzysu prowadzi do radykalnej alternatywy: albo podporządkowania polityki ekonomicznej i społecznej państw wszechmocy rynków finansowych (z ich samospełniającymi się „ocenami” i bezapelacyjnymi „wyrokami”), albo zwiększenia zdolności państw (a bardziej ogólnie władzy publicznej) do ograniczania niestabilności tychże rynków i uprzywilejowywania interesów długofalowych nad doraźnymi zyskami. Nie ma innego wyboru.

- w obecnej formie, pod wpływem dominujących sił społecznych, struktura europejska niewątpliwie doprowadziła do względnego ujednolicenia instytucji i zagwarantowania niektórych podstawowych praw, tym niemniej, wbrew założonym celom, nie doprowadziła do zbieżnej ewolucji ekonomik narodowych w strefie wspólnego dobrobytu. Daleko jej do tego. Niektóre kraje dominują nad innymi, w odniesieniu bądź do udziałów w rynku, bądź do koncentracji kapitału finansowego czy też zależności przemysłowej. Ludzie mogą nie mieć sprzecznych interesów, ale narody w coraz większym stopniu mają.

- „keynesowska” strategia generowania publicznego „zaufania” do gospodarki opiera się na trzech niezależnych filarach: stabilnej walucie, racjonalnym systemie podatków, lecz także na polityce społecznej zmierzającej do pełnego zatrudnienia i zwiększenia konsumpcji w celu utrzymania popytu. Ten trzeci aspekt jest w bieżących komentarzach systematycznie pomijany. Niewątpliwie celowo.

RZECZYWISTE TRENDY GLOBALIZACJI

Dyskusja na temat przyszłości Europy i jej systemu monetarnego

(musimy pamiętać, że niektóre ważne kraje takie jak Wielka Brytania, Szwecja i Polska do niego nie należą) pozostanie całkowicie abstrakcyjna, jeżeli nie weźmie się pod uwagę realnych tendencji globalizacji. Wskutek kryzysu finansowego, którego zarządzanie polityczne pozostaje poza zasięgiem narodów i zainteresowanych państw, uległa ona przyspieszeniu. Jakie to tendencje? Po pierwsze, mamy do czynienia z przejściem do innej formy konkurencji międzynarodowej: od konkurencji między kapitałami wytwórczymi do konkurencji między terytoriami narodowymi, które, stosując zwolnienia podatkowe i zmniejszając płace, starają się przyciągnąć więcej kapitału płynnego niż sąsiedzi. Oczywiście jest, że polityczna, społeczna i kulturowa przyszłość Europy i każdego poszczególnego kraju zależy od tego, czy stanowić ma ona mechanizm solidarności i kolektywnej ochrony ludności przed „ryzykiem systemowym”, czy też, przeciwnie, stać się ma (pod naciskiem niektórych, obecnie dominujących państw i ich opinii publicznej) prawną ramą intensyfikowania konkurencji między państwami członkowskimi i między ich obywatelami. Po drugie, globalizacji towarzyszy radykalna destabilizacja międzynarodowego podziału pracy i repartycja zatrudnienia w świecie. W tej restrukturyzacji, przemieszczającej Północ i Południe, Wschód i Zachód, jest już niejako zaprogramowany wzrost nierówności i wykluczeń, zanik klas średnich, zmniejszenie liczby wykwalifikowanych miejsc pracy i „niechronionych” form aktywności produkcyjnej, regres opieki i praw socjalnych oraz zniszczenie przemysłu kulturowego i powszechnych służb publicznych. Opór przeciwko integracji politycznej, zachodzący pod przykrywką obrony suwerenności narodowej, pogarsza tylko konsekwencje dla wielu narodów i przyspiesza powrót (dość już zaawansowany) antagonizmów etnicznych, które Europa chciała na zawsze przezwyciężyć. Ale też oczywiście jest, że integracja nie może nastąpić „z góry”, na skutek biurokratycznej decyzji. Wymaga ona demokratycznego postępu w każdym kraju i na całym kontynencie.

POPULIZM: ZAGROŻENIE CZY RATUNEK?

Czy jest to koniec Unii Europejskiej, tworu, którego historia rozpoczęła się pięćdziesiąt lat temu w oparciu o starą utopię, niemogącą spełnić teraz swoich obietnic? Nie bójmy się tego powiedzieć: jeżeli Europa nie zostanie przekształcona na nowych zasadach, to nieuchronnie w dłuższym lub krótszym czasie i nie bez przewidywalnych gwałtownych wstrząsów, jako projekt polityczny stanie się martwa. Jej upadek w jeszcze większym stopniu narazi zamieszkujące ją populacje na zagrożenia globalizacji. Natomiast przekształcenie Europy niczego nie gwarantuje, daje jej jednak jakieś szanse wywierania geopolitycznego wpływu na korzyść swoją i innych, pod warunkiem jednakże, że potrafić będzie stawić czoła ogromnym wyzwaniom nowego typu federalizmu. Tymi szansami jest stworzenie wspólnej władzy publicznej (franc. *puissance publique communautaire*) (różniacej się jednocześnie od państwa i od „zarządzania” przez polityków i ekspertów), równość pomiędzy narodami (wbrew reaktywowanym nacjonalizmom, zarówno „silnym”, jak i „słabym”), odnowienie demokracji w przestrzeni europejskiej (wbrew aktualnej „de-demokratyzacji”, faworyzowanej przez neoliberalizm i „etatyzm bez państwa” skolonizowany przez biurokratyczną kastę administracji europejskich, będącą w dużej części źródłem publicznej korupcji).

Od dawna czymś oczywistym jest, że nie będzie postępu w kierunku federalizmu, na który się dzisiaj powołujemy i który jest wręcz pożądany, bez rozwinięcia demokracji poza jej istniejące formy, a szczególnie bez zwiększenia uczestnictwa ludowego w instytucjach ponadnarodowych. Czy oznacza to, że w celu odwrócenia biegu historii, wstrząśnięcia pogrążoną w letargu konstrukcją polityczną potrzebne jest dzisiaj coś w rodzaju europejskiego populizmu, zbieżnego ruchu mas lub pokojowej insurekcji, w której wyraża się jednocześnie gniew ofiar kryzysu skierowany przeciwko tym, co z niego korzystają (a nawet go podtrzymują), i wymóg kontroli „od dołu” układów między finansami, rynkami i polityką państw? Bez wątpienia tak, ponieważ nie ma innej nazwy dla określenia

upolitycznienia ludu, aczkolwiek – jeżeli chce się zapobiec innym katastrofom – pod warunkiem stworzenia poważnej kontroli instytucjonalnej i odrodzenia w skali europejskiej sił politycznych, które wprowadzą do tego „postnarodowego” populizmu kulturę, wyobraźnię i nieprzemijające ideały demokratyczne. Jest to ryzyko, lecz jest ono o wiele mniejsze niż danie wolnej ręki nacjonalizmom różnej maści.

GDZIE JEST „LEWICA”?

Te siły polityczne tradycyjnie nazywano lewicą. Obecnie jest ona w stanie politycznej upadłości w skali narodowej i międzynarodowej. Straciła całkowicie zdolność reprezentowania walk społecznych lub organizowania ruchów emancypacyjnych, natomiast w dużej mierze poparła założenia i argumenty neoliberalizmu. W konsekwencji ideologicznie uległa rozpadowi. Ci, którzy nominalnie ją ucieleśniają, są tylko widzami i bezsilnymi komentatorami kryzysu, na który nie proponują żadnej właściwej, zbiorowej reakcji. Ani słowa po finansowym szoku w roku 2008, cisza po zaaplikowaniu Grecji receptur zaleconych przez Międzynarodowy Fundusz Walutowy (które w innych czasach i miejscach były zdecydowanie krytykowane), bierna postawa wobec „obrony euro” kosztem płac robotników i zwykłych konsumentów, brak działania w kierunku rozpoczęcia debaty na temat możliwości i celów solidarnej Europy.

Możemy się w tej sytuacji zastanowić, co się zdarzy, kiedy wejdziemy w kolejne, oczekujące nas fazy kryzysu? Kiedy coraz bardziej represyjne polityki narodowe pozbędą się swej treści społecznej (lub jej alibi)? Niewątpliwie będą istniały ruchy protestu, ale izolowane, ewentualnie kierowane przez już galopującą ksenofobię i rasizm, w rezultacie wywołujące jeszcze większe poczucie bezsilności i rozpacz. To tragiczne, ponieważ prawica kapitalistyczna i nacjonalistyczna jest również podzielona. Było to widoczne w kwestiach zatrzymania deficytu publicznego oraz planów odbudowy, a będzie takie jeszcze bardziej, gdy stawką gry stanie się samo istnienie instytucji europejskiej (dobrym tego symptomem jest ewolucja

Wielkiej Brytanii). Zaistniałaby tu okazja do wykorzystania, do stanowczej wypowiedzi. Ale problem dotyczy także intelektualistów: przedstawienia i przedyskutowania tego, co mogłoby być, co powinno być demokratycznie ukierunkowaną polityką antykryzysową w skali Europy, opartą na dwóch nogach (zarządzanie ekonomiczne i polityka socjalna), umożliwiającą wyeliminowanie korupcji i zredukowanie utrzymujących ją nierówności, restrukturyzację długów i określenie wspólnych celów, uzasadniających transfer środków podatkowych między wzajemnie współzależnymi narodami. Taka w każdym razie jest funkcja europejskich postępowych intelektualistów, niezależnie od tego, czy określają się jako rewolucjoniści czy reformiści. Nic nie może usprawiedliwić ich powstrzymywania się od działania.

Autor: Étienne Balibar

Tłumaczenie: Andrzej Staroń

Źródło: [Recykling Idei](#)